

ZESZYT 3.
29 Luty.

ŚWIATŁO

ROK I.
1920.



Rzecz panuje nad człowiekiem.



społeczeństwo kapitalistyczne postawiło na swym ołtarzu jako rdzeń wszystkich swych zagadnień, pragnień i troski — rzecz martwą — towar. Towar miast służyć człowiekowi, zaspakajając jego potrzeby — zapanował nad człowiekiem, zepchnął go w cień i zmusił do służby sobie.

Człowiek, jego potrzeby i dobro o tyle tylko istnieją dla ustroju kapitalistycznego, o ile wchodzi w grę ludzka zdolność zakupu towarów. Potrzeba nie gra tu żadnej roli, siła kupna ma tylko znaczenie. Samo słowo „człowiek” stało się czymś pogardliwym, czymś pachnącym oborą i stajnią, czymś przeciwnym do bogactwa i pańskości.

Ustrój dzisiejszy można nazwać ustrojem pogardy dla człowieka. Ten tylko ma znaczenie dzisiaj, kto posiada dużo towaru, lub wielką zdolność jego kupna, ukrytą w pieniądzu. Kto nie posiada towaru lub pieniędzy, ten jest niczym, zerem społecznym, w najlepszym zaś razie jakąś tam drobną częścią w aparacie gospodarczym.

Duszę ludzką i jej bogactwa, talent, zdolności — wszystko to, co stanowi wartość człowieka jako składowej części społeczeństwa — dla ustroju współczesnego nie istnieje, jeśli nie jest połączone z bogactwem.

Ta cecha dzisiejszego ustroju wywołuje tytaniczne, potworne nedorzeczności i sprzeczności. Przed wojną, a nawet i teraz w poszczególnych krajach, obok składu, pełnego towaru, chodzi głodny i obdarty tłum nędzarzy; — towar nie znajduje nabywców, niszczy się w składach lub umyślnie bywa niszczone, a masy ludzkie, nie mając pieniędzy na jego kupno, drżą z głodu i giną z nędzy.

W naszych oczach to panowanie martwych przedmiotów nad żywym człowiekiem uwidacznia jeszcze straszniejsze skutki.

Oto ruina gospodarcza spadła całym ciężarem na masy ludowe, pogłębiła się przepaść między bogactwem i biedą: w jednakim stopniu wzrosły fortuny i nędza. Zamilkły warsztaty pracy, szaleje orgia spekulacji resztkami towaru: kto ma jaki przedmiot do zbycia, ciągnie zeń korzyści, kosztem najbiedniejszych, nic nie posiadających prócz, — zbędnego przy dzisiejszym zastoju i ruinie przemysłu towaru — sły roboczej.

Ustrojowi, przesiąkniętemu pogardą dla człowieka i czią dla pieniądza, pozostawiono sprawę odbudowy życia.

I widzimy oto jak nie może ruszyć z martwego punktu sprawa odbudowy gospodarki społecznej,

jak zamykają się nawet istniejące warsztaty pracy, mające wszystkie dane do utrzymania się w ruchu, jak $\frac{1}{3}$ ziemi ornej pozostaje nie obsianą, jak z cynicznym uśmiechem mówią kapitaliści o tem, „że produkcja się nie opłaca”.

Czy nie potwornością są słowa o „nieopłacaniu się produkcji” w kraju, gdzie setki tysięcy bezrobotnych otrzymuje głodowe zapomogi od rządu, gdzie szalony brak towaru powoduje niebывałą drożyznę i tysiączne trudności w nabyciu potrzebnego przedmiotu?! — Czy nie są te słowa najstraszniejszą obelgą, rzuconą w twarz człowieka, który zapomniiał już o czasach, kiedy można było normalnie zaspakajając swe potrzeby?!

W dzisiejszym ustroju jest to zwykłym tylko stwierdzeniem faktu. Cóż bowiem kogo obchodzą potrzeby ludzkie?!

„Nie opłaci” się fabrykantom produkować, bo muszą płacić robotnikowi zbyt dużo pieniędzy (a jednak sumy nie wystarczające do życia), bo nie mają rynku zbytu: zubożona ludność nie ma możliwości kupić całej ich produkcji.

„Opłaca” się fabrykantom zamknięcie warsztatów pracy, bo zmuszają w ten sposób robotników do jeszcze większego wyrzeczenia się swych potrzeb i pokory wobec kapitalisty.

„Nie opłaca się” rolnikowi zasiać całego pola, bo i za mniejszą ilość zboża osiągnie wielkie pieniądze. „Opłaca się” zostawić część pola odłogiem, bo mniej wtedy wyda na robociznę, mniejszą ilość robotników będzie opłacał.

To są argumenty wystarczające dla społeczeństwa kapitalistycznego, w którym człowiek i jego istnienie nie gra żadnej roli, a decyduje o wszystkim pieniądź i towar.

Ale argumenty te nie starczą, gdy sprawę ludzi, ich życia i rozwoju postawimy na pierwszym miejscu i uczynimy ośrodkiem działalności społecznej. Argumenty te wówczas ukazują się ludzkim oczom w całej swej potworności, — i ustrój społeczny, który wywołuje takie zjawiska, otoczony jest nienawiścią wszystkich.

Wydobyć się z nędzy współczesnego powojennego życia może społeczeństwo tylko przez odwrócenie panującego dziś stosunku między towarem i człowiekiem. Człowiek musi zapanować nad martwymi przedmiotami — towar musi przestać być wartością królującą i dostępną tylko dla bogatych — musi przestać być towarem — a stać się przedmiotem, służącym człowiekowi, zaspakajającym jego potrzeby.

Warunki takiego życia zmieni socjalizm.

Jego konieczność jest widoczną każdemu, kto pragnie wydobyć się społeczeństw z powojennych rumowisk.

A. C.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

I.



Przez nadludzki swój trud, któremu podolać mógł jeszcze, choć co chwilę opadały mu ręce, ciężkie jak kłody, przez niespane swoje noce, przez nieustający zda się od lat całych gwizd wichru i ryk oceanu, przez ciężkie odurzenie rumem, który pili

co chwilę wszyscy, brodząc po pas w szalejącej na pokładzie wodzie, czepiając się wszystkiego, by nie dać się porwać — — przez jakieś mętne okienko, które odstawiano się chwilami, jak przez sen — wiedział, że mija tej burzy trzeci dzień, trzecia noc.

Zdrętwiałymi rękami po omacku wiązał jakieś twarde, przemokłe sznury, zwijał płótna, sztywne jak blacha, rąbał, oddzierał i ciskał precz kawały drzewa, walące się wciąż z kąsów z góry, dźwigał wespół z innymi niewiadome ciężary, coś przesuwiał, zatykał. Zataczał się, padał, czołgał się, brnąc we wodzie, podnosił się i znowu czynił niewiadomo co i niewiadomo poco na tym niepojętym świecie, który wznosił się pod niebo i zapadał się coraz głębiej, gniotąc boleśnie pierś, serce, mózg. Kołował on, i kołowało się wszystko w głowie. Przewalał się świat na obie swoje strony i w tył, i w przód, i w bok, i na skos, przewalał się do góry nogami, nurzał się, wynurzał i wiecznie wciąż jeszcze nie mógł zatonać. Trzeci dzień—trzecia noc.

O świcie ujrzał tuż obok siebie jak murzyn Peter Wynhap, trzymając się burty, drugą ręką przechylał butelkę z rumem. To trwało nieznośnie długo jak na jego nieposkromione pragnienie, które zbudziło się w nim zajadle. „Dość!” krzyknął i wyciągnął rękę po butelkę. A ciężki żelazny blok wraz z kłębem lin urwał się z kąsów i rznął w sam łeb murzyna. Peter wierzgnął przez burtę bosami czarnymi nogami o jasno żółtych podeszwach i znikł. Pić! Pić! Pogonił za butelką, toczącą się po deskach kędys w dół i usiłował ją schwytać.

Napróżno czołgał się na kolanach, macając zdrewniałymi rękami. Butelka igrała, uciekając coraz to w inną niespodziewaną stronę i drwiąc z niego, wylewała ze siebie bez litości ostatnią resztę. Wściekły dopadł jej, gdy już była próżną. Z zamachem cisnął nią o deski aż przysła. Oszałały z bólu pragnienia spieszył się ku kapitańskiej kajucie i pełzał na kolanach. Długo mocował się z klamką u drzwi, omdlewał z wysiłku, kłął i prosił. Wreszcie drzwi ustąpiły.

Buchnął weń okropny zaduch. Wyziew rumu, smród morskiej choroby i duszne gorąco odebrały mu resztę sił. Leżał w progu, niemogąc się dźwignąć i dyszał ciężko, wpatrzony krwawymi oczami w kapitana, rozwalonego na pryczy.

— Kto ty?! Precz! Drzwi! Drzwi!!

Na krzyk tyrana drgnął ze strachu i na mgnienie oka poczuł w sobie resztę dawnego psiego posłuszeństwa. Porwał się, ale już było zapóźno. Fala chlusnęła szeroko, zalała całą kajutę, zabrała łóżko,—z wody sterczała przez chwilę tylko głowa kapitana, jego czerwona obrzękła twarz i oczy okrągłe ze wściekłości. Łoskot wody głużył jego wrzaski.

Wnet, za pochyleniem się statku, wylała się woda z kajuty strumieniem, i Jorg pośpieszne zatrzasnął za sobą drzwi. W półmroku wnętrza rozlegało się ciężkie, rytmiczne stękanie, przeplatane tłumionymi przez czkawkę urywanymi klątwami. Jorg już się nie bał. Wszak kapitan nie może się poruszyć. Strzaskane prawe ramię ma grubo omotane szmatami. Lewą ręką zaledwie zdołał się utrzymać za brzeg wyrka i potoczyłby się niewątpliwie za pierwszym przechyleniem się okrętu, gdyby go nie podpierał ze wszystkich sił wierny do ostatka psiak obrzydliwy, kapitański ulubieniec mały Tomek. Chłopak szeroko rozwartymi oczami patrzył na śmiałka, który wdarł się do kajuty władcy i napuścił tyle wody...

Ale groźny władca jęczał tylko i zgrzytał zębami z bólu. Jorg podszedł śmiało do baryłki i ukląkszy jak u siebie w domu, toczył rumu do blaszanki kapitańskiej, rozlewając obficie drogocenny płyn. Chciwie pociągnął raz i drugi, oderwał usta od blachy i podniósłszy ją w górę, zawołał ochryplym głosem, przekrzykując gwizd wichru, ryk wody i potężne uderzenie jakiegoś łańcucha, który, urwawszy się z kąsów, tłukł raz po raz w ścianę kajuty.

— Na śmierć tobie, wieprzu nieczysty! Nie warto cię nawet nożem pchnąć — i tak zobaczę zaraz jak pospołu ze swoim plugawym szczeniciem będziesz tonął! Ty przedemną! Zaraz będę na to patrzył! Bugszport pękł! Steru niema! Ty przedemną! Do wody, wieprzu!

I pił chciwie. Kapitan jęczał i kłął. Tomek głośno płakał. We drzwiach ukazała się nieśmiało głowa drugiego harpuniarza Szmida. Za nim tłoczyło się jeszcze kilka postaci.

— Chodźcie tu wszyscy!... Ilu was tam jest? Nie bój się jeden z drugim! Chodźcie się na-

pić! Dobry rum miał dla siebie Wielki Bydlak! Pij Smith, pij Raugar! Chodź i ty, Soprano! Walcie tu wszyscy, wołajcie resztę!

— Niema żadnej reszty — krzyczał ochryplym głosem malajczyk Mertok z głową przewiazaną wskos przez oko okrwawioną szmatą. Peter dopiero co się zerwał, a wszyscy odjechali wczoraj pocichu wielką łodzią... Łotry! Psy!

— Hahaha! Odjechali! Hahaha. Na taką wodę! Hahaha!... Wesolej podróży? A wyście się też pchali? Głupcy! Jeden Jorg mądry! Co? Siadajcie sobie w małą łódź. Ja zostanę! Ja sam zostanę! Sam przybiję do jasnych brzegów! Nikogo z was brudasów nie potrzebuję! Tamtych już ryby żrą! Pijcie brudas, pijcie oberwańcy — nie bój się hołoto ludzka, zbieranino z końca świata, wy żeglarze z pod ciemnej gwiazdy!

Jeden za drugim włązili przez niskie, ciasne drzwi i zapełnili całą kajutę. Opakowani w poczarne korkowe pasy bezpieczeństwa, zawadzali o siebie nawzajem, pchając się do beczki. Biła od nich gorączka i rum. Nalewali i łakomie, bez miary wlewali w siebie ognisty płyn, jak gdyby to była woda. Opiwszy się, stłoczyli się dookoła postaci kapitana i trzymając się jeden za drugiego, zataczając się całą gromadą za każdym pochyleniem statku, urągali powalonemu władcy. Wszyscy już byli w stanie ciężkiego obezwładniającego zapicia. Języki plątały się; wśród klątw, złorzeczeń i ciężkiego swojego uśmiechu, ludzie ci zdawali się usypiać.

— Bądź zdrow, stary! Łódź gotowa, tylko ci jeszcze tę barykczynę zabierzemy.

— Dobry rum, ale tobie już niepotrzebny!

— Woda cię tu wnet zaleje jak szczura.

— Wielki Bydlaku!...

— Bracia! Warto mu na pożegnanie ze sto rzemieni? Idzie?

— Hurra!

— Gdzie nasz kot?

— Jest!

„Kot, o siedmiu ogonach”, straszny knut z kręconego surowca wisiał na gwoździu w głowach postaci i chybotął się na ścianie jak żywy, ruszając swymi ogonami. Poza oficerami — harpuniarzami, nie było wśród załogi ani jednego, któryby po wiele razy nie spróbował „Kota”. Znał go dobrze i Jorg. Czarny, mały, dziko obrosły włoch, przewany Soprano, który był bity najczęściej i stale, i za byle co, i poprostu za nic, zdjął ze ściany bat, a nie mogąc go rozwinąć w ścisku, zebrał go w cięż-

ką pytę i podsuwał kapitanowi pod sam nos. Tomek z płaczem usiłował zasłonić pana, ale wnet porwał go ktoś i cisnął nim w kąt. Pyta spadła na czerwoną, obrzmiałą wielką gębę. Kapitan wydał dziwnie cienki, żałośliwy jęk, który utonął wnet w ryku śmiechów. Jorg wyszedł z kajuty.

Nienawidził tych ludzi nie mniej niż kapitana, Nie żałował tyrana i ani myślał psuć kolegom ostatniej zabawy. Wyszedłszy na wicher i zalany tuż za progiem od stóp do głów przez falę, zapomniał w jednej chwili o ludziach. Uczepił się drabiny i patrzył w dal, we mgłę,

Okręt oddawna nie kierowany, szedł bokiem, szedł tyłem, wreszcie chwilami obracał się nawet przodem i wciąż kołując, chwiejąc się, zapadając się i wynurzając, posuwał się stale kędyś w niewyczerpaną dalekość oceanu, zasnutego gęstą kurniawą, którą wicher ścinał wciąż z siwych grzebieni fal i ciskał w przestrzeń z niezmordowaną zajadłością. Niebo zlewało się z wodą w jedną stalowo-szarą zimną oponę. W półmroku, który chwilami rozjaśniał się, chwilami przygasał trudno było odgadnąć porę dnia. Ni to świt, ni to zachód, ni to noc z księżycem, przeświecającym przez zwały chmur. W groźnym, wściekającym się ryku burzy, w nieustającym ani na chwilę skrzypieniu i zgrzycie skołatanego okrętu, wyła jakaś ponura, śmiertelna nuda. Nuda ciężka, dławiąca była i w dawności trwania tej ostatecznej, beznadziejnej grozy, w zdrętwiałym, biernym, nie czującym oczekiwania na pewną zagubę. Lada chwila przechylił się stara rudera, położył się na bok i już nie wstanie. Wyszadzi woda nieszczelne, rozluźnione luki, wypełni wnętrze, zacięży i wciągnie wszystko w odmęt. Niema nigdzie i nie może być znikąd ratunku.

W tej pewności była jakby pewna słodycz. Majaczyło w duszy jej przeczucie. Jak przez sen snuła się melodia jakiegoś blizkiego szczęścia. Co to będzie?

Przed tym spodziewaniem się, roztwierała się w duszy głębia nieznanego spokoju. Gdzieś na samym jej dnie zaszepce dziecięcą struchlałą modlitwą do zapomnianego Boga. Przemknie obraz jaknajdawniejszego życia, zabitego i pogrzebanego w niepamięć. Drgnie zamarłe serce i odmieni się naraz wszystko, co jest, na coś, co kiedyś było.

Jorg nie odganiał od siebie „tamtego”. Już ustawała wieczna jego praca nad niszczeniem przeszłości, zabijaniem dawnego siebie, bezustanny wysiłek kłamania przed ludźmi i przed samym sobą. Dosyć!

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

P O E Z J E.

Kamieniarze.

Bez końca szosa. Pryzmy na niej
 biało-szaremi sterczą rzędy,
 niby nagrobki tych, co dla niej
 przy pracy spluli resztę płuc.
 Chodź ze mną. Porzuć wszystkie względy!
 Będziem na szosie kamienie tłuc,
 my — nowi, młodzi kamieniarze!
 Sami pragniemy iść na szosę...
 Zwykle przy pryzmie szare twarze
 widziałeś, jak pryzma, nogi bose,
 szare, jak pryzma, i ciężki młot.
 Ten ciężki młot...
 Te szare twarze...
 Oddychaj kurzem, pracuj wśród słot...
 To — kamieniarze.
 Zwabiła nas zgrzytna pieśń młota,
 pracę i ciężar musimy zmóc.
 Stąd ta na szosę iść ochota,
 radość, że mamy kamienie tłuc.
 Jak ciężki młot, ale jak tłucze!
 Jak dobrze nam, że ręka mdleje!
 Nic to, że deszcz twarze optucze,
 a pył zasuje i zasieje.
 Tyle w nas nowej wstaje siły,
 taka krzemienność!... Gdybyśmy zwarli
 ciężki nasz młot, mocą opity,
 z całutką szosą — możem ją stłuc!
 Nie tak, jak tamci, co tutaj marli,
 ci kamieniarze dawni bez płuc.
 Posłuchaj zgrzytnej pieśni młota,
 popatrz, jak kamień w szczerk się kruszy,
 gdy my bijemy: to ochota,
 to młoda pieśń, co świat poruszy.
 O tak! Poruszy! My to wiemy.
 Bo kiedy splujem resztę płuc,
 jak tamci, to nim pomrzemy
 z pracy, nie z lat —
 ujmiemy młot i będziem tłuc —
 świat.

Wacław Budzyński.

Łucznik.

Do obrazu T. Pruszkowskiego

Uniesiony myśliwskiej namiętności szalem
 Młodzieńczyk napiął łuku cięciwę sprężystą
 I puścił śmiały pocisk w głąb niebios świetlistą,
 By utopić grot z drzewcem w ptaka ciele białem.

I kipiący w nadmiarze sił swych młodych warem
 W okrucieństwie radosnem, że trafiają strzały
 Wbił się jasnem spojrzeniem w powietrzne kryształy
 I rosjaśnił oblicze swe uśmiechu czarem.

Leją się smugi deszczów z łona groźnej chmury,
 Błyszczą światłem słonecznem pól dalekie łęgi,
 Oddycha tajemniczo żywa pierś natury.

A z dalekich wysoczyzn, przenizany strzałą,
 Wolno spada sokoła trup przez niebios kręgi
 I plami krwi szkarłatem swą pierś śnieżną białą.

Jan Wisła.

Piastuny.

Do obrazu T. Pruszkowskiego.

W głębi leśnej spowitej przez śnieżne całuny —
 Kędy zwisają białe turbany okiści —
 Kędy baśń świetna zimy srogiej nam się iści
 I grają skier świetlistych brylantowe łuny —

Idą dwaj mężni woje — groźni, rozmaszyści,
 Tacy, co wrogów gardła biorą w żelaz kuny —
 Młodzieńca między sobą wiodą — to piastuny
 Pisklęcia tego: — środzy, twardzi, uroczyści.

Młodzieńczyk po raz pierwszy ujął zbroje w dłonie
 Nie dla ćwiczeń lub w zwierza by godzić w ostępie,
 Lecz by wroga dosięgnąć, co w puszczy głębi tonie.

Cisza... tylko hen, drgnęły okiściowe sploty —
 Widzi to wyteżone starca oko sępie,
 A serce wie, że wnet tu furkną wraże groty.

Jan Wisła.



Tadeusz Pruszkowski.



Malarska twórczość Pruszkowskiego jest młodzieńcza, śmiała i nowa. Maluje Pruszkowski sero-kiemi, gwałtownymi uderzeniami pędzla; w samej technice jego jest pewna namiętna poręczność. Do kompozycji Pruszkowskiego tu reprodukowanych dołączamy dwa wiersze, napisane pod wrażeniem tych dzieł. Tak malarz dziełem plastycznym wywołał powstanie słowa. Wogóle obrazy—prócz rozkoszy estetycznej, jakie nam dają, mogą być źródłem wielu uczuć i myśli pięknych, trzeba się tylko im oddać i w nie się zagłębić.

Z obrazów Pruszkowskiego wyodrębnia się spokojem techniki, pozbawionej brawurowych rzutów portret Matki. Prawie każdy z dzielniejszych artystów malował swą matkę. Postać ta, jedyna w życiu człowieka, najbliższa, najbardziej ufna i kochana, pociąga każdego artystę do stworzenia jej wizerunku. Malarz, jeżeli ma wiedzę malarską, jeżeli umie rysować, jeżeli zdolny jest widzieć rzeczy, jako samodzielne artystyczne wizje, jeżeli przytem ma

uczucie i zdolność oddania wyrazu i podobieństwa twarzy, to wszystko to wystąpi najsilniej w portrecie matki. Tak też jest u Pruszkowskiego. Powściągnąwszy nieco bujną gwałtowność swego temperamentu, dał Pruszkowski dzieło owiane spokojem, prostotą i powagą.

Portret rzeźbiarza, który reprodukowujemy obok portretu Matki, to popiersie młodego człowieka z głową dumnie i nieco wyzywająco wzniesioną, z mocną szyją, jędrnie narysowaną i doskonale związaną z torsem, ukazującego nam jakby z radosnym dumnym zdziwieniem posażek, który trzyma w dłoni. Portret ten, rysowany na promiennym jasnym tle nieba, jako wizerunek młodego, pełnego wiary w siebie, w życie i sztukę artysty, jako muzyka i kompozycja linii i budowa kształtów czyni duże wrażenie.

Pruszkowski maluje przeważnie olejno. Wystawia też pełne wdzięku rysunki sangwiną i węglem. Obraz jego „Piastuny“ został na konkursie w roku zeszłym nagrodzony pierwszą nagrodą.

Jan R.

Wiedza o wszystkim.

POMORZE POLSKIE.

W dniach od 17 stycznia do 10 lutego r. b. wojsko nasze objęło z powrotem w posiadanie przyznane nam traktatem wersalskim dawne ziemie polskie, położone nad dolną Wisłą i przylegające bezpośrednio do morza. W ten sposób Polska odzyskuje nareszcie możliwość bezpośredniej łączności z szerokim światem, a więc i wywożenia najłatwiejszą drogą wodną nadmiaru swoich produktów i otrzymywania wzamian towarów z krajów obcych.

Kraj ten od najdawniejszych czasów należał do Polski lub pozostawał pod jej bezpośrednim wpływem i opieką. Bawili tu nieraz nad morzem królowie nasi z rodu Piasta: Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty, Władysław Łokietek, usiłując związać jak najściślej Pomorze nasze z całością ziem polskich. Już jednak w r. 1308 krzyżacy opanowali podstępem położony przy samem ujściu Wisły Gdańsk i rozciągnęli władzę swoją nad całym Po-



PORT W PUCKU.

morzem. Mieszkańcy ziemi tej nie chcieli jednak znosić długo dokuczliwego jarzma krzyżackiego: powstanie, które wybuchło w r. 1454, poparte całą

siłą orężną Polski, po trzynastoletniej krwawej wojnie pociągnęło w rezultacie przyłączenie ponowne Pomorza do Rzeczypospolitej. Odtąd w ciągu t zysłu lat kraj ten rozwijał się normalnie, zaludniały się wsie, wzrastały w zamożność miasta. Zwłaszcza Gdańsk, będący głównym i jedynym portem Rzeczypospolitej, zabudował się wspaniale i był jednym z głównych ognisk handlu europejskiego.

Ta pomyślność Gdańska z kończyła się z chwilą pierwszego rozbioru Polski. Samo miasto wprawdzie jeszcze lat 2), aż do drugiego rozbioru, pozostało pod władzą Rzeczypospolitej, odcięte jednak od całości ziem polskich przez kordony graniczne i celne, ustanowione na Wiśle przez królów pruskich, wegetowało już tylko, tracąc z rokiem każdym dawne swoje znaczenie w handlu zamorskim. W r. 1793 Gdańsk i Toruń wraz z pozostałymi jeszcze przy Polsce skrawkami dawnych Prus Królewskich wpadły w ręce chciwego zaborcy niemieckiego.

Rozpoczęły się dla mieszkańców tej odwiecznej ziemi polskiej ciężkie chwile ucisku narodowego i gospodarczego, przerwane jedynie w okresie lat 1807—1813, kiedy zwycięskie wojska francuskie, wspomagane przez dywizję polską gen. Dąbrowskiego, zajęły znowu ten kraj, włączając dużą część jego do utworzonego pokojem tyłyckim Księstwa Warszawskiego. Z upadkiem Napoleona runęło i Księstwo. Pomorze Polskie, jako prowincja Prus Zachodnich, wcielone zostało na lat sto z górą do ziem Królestwa Pruskiego.

Korzystając z oparcia, jakie tworzyła dla niemieczyzny większość ludności miast naszej prowincji, rząd pruski od pierwszych chwil objęcia tu władzy usiłował przeprowadzić gruntowną germanizację całego kraju. Skutkiem specjalnych zarządzeń natury gospodarczej wyzuto przedewszystkiem z majątków niemal wszystkich właścicieli ziemskich Polaków, osadzając na to miejsce Niemców, następnie przy pomocy nasłanych tu w wielkich ilościach urzędników postarano się zniemczyć do reszty miasto, w końcu zaś — w ostatnim zwłaszcza trzydziestolecium — poczyniono energiczne kroki przez utworzenie Komisji kolonizacyjnej celem narzucenia niemieckiego pokostu i wiejskim osadom na Pomorzu Polskiem. Z górą 100 tysięcy hektarów gruntu zdołała nabyć Komisja na obszarze Prus Zachodnich do chwili wybuchu wielkiej wojny, osiedlając na utworzonych parcelach wyłącznie kolonistów niemieckich.

Pierwszy rzut oka na mapę nabytków Komisji Kolonizacyjnej pozwala stwierdzić, iż celem dążeniem tej niesłychanie kosztownej instytucji państwowej niemieckiej było odcięcie żywiołu polskiego od morza. Zakupywano zatem najwięcej gruntów w powiatach: lubawskim, wątrzeskim, brodzickim, aby Niemców z Prus Książęcych połączyć jedną nieprzerwaną linią etnograficzną przez Toruń i Bydgoszcz z głównym obszarem niemieckim w Brandenburgji. Polityka ta jednak tylko w pewnym stopniu osiągnęła swój rezultat. Kraj otrzymał istot-

nie pewien pokost niemiecki, rdzeń jednak ludności pozostał bądźco bądź polski.

Na przyznany nam przez traktat wersalski obszarze około 15 tys. klm. kw jest około miliona mieszkańców, w tem — według danych statystyki niemieckiej — około 60 proc. Polaków, a blisko 40 proc. Niemców.

Jest faktem godnym podkreślenia, iż powiaty nadmorskie, zamieszkałe przez ludność kaszubską, pozostały nawet pod rządem pruskim wcale silne pod względem polskim. Tak więc w powiecie puckim według statystyki pruskiej miało być 69,9 proc. Polaków, w innym powiecie kaszubskim, mianowicie kartuskim nawet 72,3 proc. Po odiczeniu urzędników i wojskowych niemieckich wraz z rodzinami, których część znaczna wyniosła się już lub wyniesie wkrótce do Niemiec, odsetki te zwiększą się jeszcze znacznie.

Ludność kaszubska, zamieszkująca główne powiaty: pucki, wajherowski, kartuski i kościerski, używa gwary swoistej, wyodrębniającej się dość znacznie od innych gwar ludowych polskich. skutkiem czego niektorzy uczeni chcieli już uważać ją za naród odrębny. Sami jednak Kaszubi odczuwają bardzo silnie swą łączność z Polską i dawali temu silny wyraz przy wszelkiej zdarzonej sposobności, żądając polskiej nauki w szkołach i wybierając posłów polskich do sejmku i do parlamentu.

Naturalną stolicą Pomorza Polskiego jest Gdańsk, którego jednak traktat wersalski nie przyznał Polsce, tworząc z niego wraz z okregiem wyodrębnione „wolne miasto“ pod opieką Ligi Narodów. Ostatni spis ludności z przed lat 10 wykazał w Gdańsku 170 tys. mieszkańców, w ogromnej większości Niemców. Jest tam jednak i spora grupa Polaków, posiadających dość liczne i sprawnie funkcjonujące stowarzyszenia polityczne i kulturalne oraz organizacje gospodarcze.

Wobec odjęcia nam Gdańska stolicą utworzonego świeżo województwa pomorskiego został Toruń, również pięknie położony nad Wisłą i zabudowany nader starannie. Według statystyk pruskich miało być tu na 45 tys. mieszkańców tylko 15 tys. Polaków. Jest ich tu jednak podobno około połowy ogółu ludności. Oprócz starych, pięknych kościołów posiada Toruń pomnik Kopernika, który tu się urodził w r. 1475, oraz polskie Towarzystwo Naukowe z obfitą biblioteką i zbiorem zabytków muzealnych.

Z innych miast na Pomorzu Polskiem zasługują na uwagę pięknie położone nad Wisłą, Chełmno, Świecie, Grudziądz i Tczew. Wisła, uregulowana w obrębie dawnego zaboru pruskiego, stanie się zapewne wkrótce już bardzo ważną drogą handlową całej Polski. Skorzystają na tem zapewne w znacznym stopniu te wszystkie stare grody i ta cała ziemia, niegdyś polskie, później niemieckie, dziś znowu wracające do wspólnego życia z całą Rzeczpospolitą Polską.

W. Wielecki.

Pierwsze Premjum „Światła“.

Instytut Gospodarstwa Społecznego wydał doskonałą mapę Polski i Ziemi Wschodnich ilustrującą stosunki narodowościowe, granice Polski z 1772 r., granice narysowane przez ostatni kongres pokojowy i t. d.

Wobec aktualności tematu zakupiliśmy część nakładu tej mapy i bezpłatnie rozesłaliśmy przy 4-tym zeszytzie „Światła“ wszystkim stałym jego prenumeratom. Dla nieprenumeratów mapa ta będzie do nabycia w Adm. „Światła“ po cenie 5 mk. za egz.



**TADEUSZ
PRUSZKOWSKI.**

**PORTRET
RZEŹBIARZA.**



**TADEUSZ
PRUSZKOWSKI.**

PORTRET MATKI.



TADEUSZ PRUSZKOWSKI.

PIASTUNY.

Fokłosie polityczne.



ch, co to się działo w Paryżu w chwili, kiedy na wiosnę zeszłego roku przybyła do Paryża delegacja turecka na konferencję pokoju! Nasamprzód kazano jej zamieszkać w Vancresson, na tyłach Saint-Cloud, w ukryciu od ludności, w tajemnicy, niemal pod kluczem. Wielcy panowie, zasiadający w zegarowej sali, albo w gabinecie pana Pichona — zastanawiali się w ciągu kilku godzin nad kwestiami bliskiego Wschodu i przyszli do wniosku, że ta delegacja wogóle niema co robić w Paryżu, bo Turcji niema i nie będzie. Nasamprzód trzeba ją wypędzić z Europy do Azji. Konstantynopol, który w roku 1915 był oddany cesarzom rosyjskim, miał po ich upadku zostać wolnym miastem pod protektoratem W. Brytanji, która uważała, że mając Gibraltar, Maltę i Konstantynopol na południu, Londyn, Helgoland i Libawę na północy, będzie panią Europy. Zaś Azja Mniejsza ma być podzielona między Francję (Syrja), Anglię (Palestyna, Mezopotamja), Stany Zjednoczone (Armenja), Włochy (Cylacja i port Aleksandretta). Słowem—Turcji niema. Niema o czem z nimi gadać. Wyrok zakomunikuje im się w chwili, gdy będzie miał być wykonany. I pewnego dnia wysłaniec pana Clemenceau zakomunikował w sposób grzeczny i bardzo szlachetny dygnitarzom tureckim, posępnie przechadzającym się po ogródku willi prywatnej w Vancresson, żeby nie nadąywali gościny i wracali do domu. Smutni a milczący synowie Wschodu spuścili oczy, pogłębiła się szeroka zmarszczka na białem czole. *La Allah il Allah*, szepnęły usta Allahowi wierne, i tegoż wieczora delegacja bez pożegnania zniknęła z życia francuskiego i z gazet francuskich. Byli ludzie, nawet między dziennikarzami (ale byli to tylko dziennikarze socjalistyczni), którzy uważali, że ten wyjazd przeczy tradycjom francuskim, zasadom byle jakiego dobrego wychowania, a być może nawet uzboczeniom rozumu.

Nikt z możliwych panów chwili nie zwracał uwagi na te nawoływania i na te ostrzeżenia. Turcja została „raz na zawsze“ skreślona z listy państw żyjących. Schodziła bez sławy ze świata, oszukana i ograbiona przez wszystkich swoich wierzycieli, chora od stu pięćdziesięciu lat, zawsze na liście umierających, zawsze jednak ratująca się od zagłady przeciwstawnością interesów sędziów swoich i likwidatorów. I tym razem jeszcze ten sam środek spr-

wił, że Turcja zostaje przy życiu. Opadły wawrzyny konferencji pokojowej, opadła groźna szabla pana Clemenceau. „Próżność nad próżnościami!“ — wołał mędrzec biblijny. Ameryka nie chce Armenji, nie wiadomo co począć z wrzeniem rewolucyjnym Indji i Egiptu, co począć z Muzułmanami tych samych Indji i Marokka. Lloyd George poszedł po rozum do głowy, Nie wiadomo co począć z Irlandją. Nie wiadomo, co począć z parlamentem, w którym koalicja, sztuczny wytwór ostatniej kombinacji wyborczej premiera angielskiego rozpada się. W dzisiejszym numerze *Times'a* czytać można, jak jedna z podporządków rządu Sir Mac Lean oświadczył w Izbie Gmin, że koalicja rozpada się i przestaje istnieć. W tej okrutnej represji, która sprawiła, że buńczuczny Lloyd George, który zapewniał wyborców swoich, że rozstrzela Wilhelma II, a dziś gotów jest zadowolić internowaniem tego koronowanego zbodniarza w kolonjach holenderskich, który chciał Lenina wziąć w klatce żelaznej, niby Tamerlana, a dziś ładuje karawany, aby z tymże Leninem prowadzić wymienny handel, powiedział: niechże tam Turcja zostanie! To jedyny pierwiastek cywilizacji na bliskim Wschodzie. To stolica Kalifatu. Tu są zwrócone oczy wszystkich Muzułmanów. I Turcja, jak głosi uchwała konferencji Londyńskiej—zostaje w Konstantynopolu.

W tym samym tygodniu, kiedy szlachetna młodzież polska, pomna dawnych stosunków Stambułu z Lechistanem, pomna także, że Turcja nie uznała nigdy rozbioru Rzeczypospolitej polskiej—na zjeździe odbytym w Warszawie protestowała przeciwko rozbiorowi Turcji, premierzy W. Brytanji, Francji i Włoch—proklamowali w Londynie wbrew wszystkim uchwałom powziętym przed półrokiem, wbrew wszystkim oświadczeniom, wyklinaniam, protokołom zejścia—proklamowali, że Turcja pozostaje w Konstantynopolu.

I dziś w Londynie mówią już o powszechnej rewizji Traktatu wersalskiego. Ludzie poważni muszą zastanowić się głęboko nad znaczeniem tych sporów. Co znaczą oświadczenia dyplomatów! Co znaczą ich podpisy, ich pieczęcie, ich groźby, ich bicia w piersi. Pan Clemenceau wyklinał jeszcze w grudniu, pan Millerand zapewniał, że traktat będzie w całości wykonany jeszcze w lutym. A dziś już miarodajne koła londyńskie mówią o—rewizji.

25 lutego p. Millerand ma jeszcze powrócić do Londynu. Mają tam zapaść uchwały wielkiej wagi. Ale o tem powiemy za tydzień. R. K.

26 lutego.

Więści z za Oceanu.

(Wywiad z tow. Zofją Praussową).



Wiedawno powróciła z Waszyngtońskiej Konferencji Pracy tow. Z. Praussowa, która była tam delegowana przez rząd, jako rzeczoznawczyni sprawy robotniczej w Polsce. Zwróciliśmy się przeto do niej z prośbą o udzielenie informacji tak o Konferencji, jak również o życiu emigracji polskiej w Ameryce.

Wiadomościami temi dzielimy się z czytelnikami „Światła“.

Jakie znaczenie miała Konferencja Pracy w Waszyngtonie?

Dla nas — odpowiedziała Z. P. — niewielkie, gdyż nasze prawodawstwo społeczne należy do b. postępowych, ale dla narodów, gdzie siła klasy robotniczej jest niewielka, znaczenie tej konferencji jest duże.

Uchwalone minimum prawnych warunków życia robotniczego dla takich Indji, Japonji, Chin i t. d. jest ogromnej wagi. W Japonji np., gdzie robotnicy nie posiadają zupełnie prawa koalicji, uchwały Konferencji będą dużym atutem dla klasy robotniczej.

Jak zachowywali się różni delegaci?

— Najbardziej sympatycznie przedstawiała się robotnicza delegacja włoska z t. Baldesim na czele. Również łatwo było ustalić wspólną linię działania z deleg. hiszpańskich robotników t. Cavaliero. Przedstawiciele robotników francuskich byli bardzo umiarkowani. Ciekawie zaś zachowywali się delegaci angielscy. Ci przybrali taką postawę, jak ludzie, którzy jutro obejmą władzę w swoim kraju, lecz też żadne sprawy innych narodowości nie wzbudzały w nich zaciekawienia i tak np. w sprawie warunków pracy dla narodów tropikalnych (w kolonjach) gotowi byli na wielkie ustępstwa kapitalistom.

Delegacja narodowa polska, ze względu na daleko posunięte prawodawstwo, szła ręką w rękę z lewicą zjazdu, ale za to p. Zaglenciczny, przedstawiciel przemysłowców, zaraz wszedł w stosunki z kapitalistami i nawet tam, gdzie chodziło o rzeczy, które z państwowego polskiego punktu widze-

nia, jak np. sprawy ograniczenia swobody przemysłowców w różnych krajach, popierał kapitalistów.

Delegacje rządowe nie posiadały charakteru jednolitego. Staraly się nie dopuścić do zerwania Konferencji i ciągle łagodziły spory, lawirując między delegacjami robotników i fabrykantów.

Jak przyjęła Ameryka delegatów Konferencji? Bardzo dziwnie. Nic nie zastaliśmy przygotowanego. A jeden z senatorów (Szerman) wyraził się, że gdyby to było w jego mocy, całą delegację, jako bolszewików, wywiózłby z Ameryki.

Jak płynie życie emigracji polskiej w Ameryce?

Tow. Praussowa objechała kilkadziesiąt miejscowości, gdzie skupia się emigracja polska.

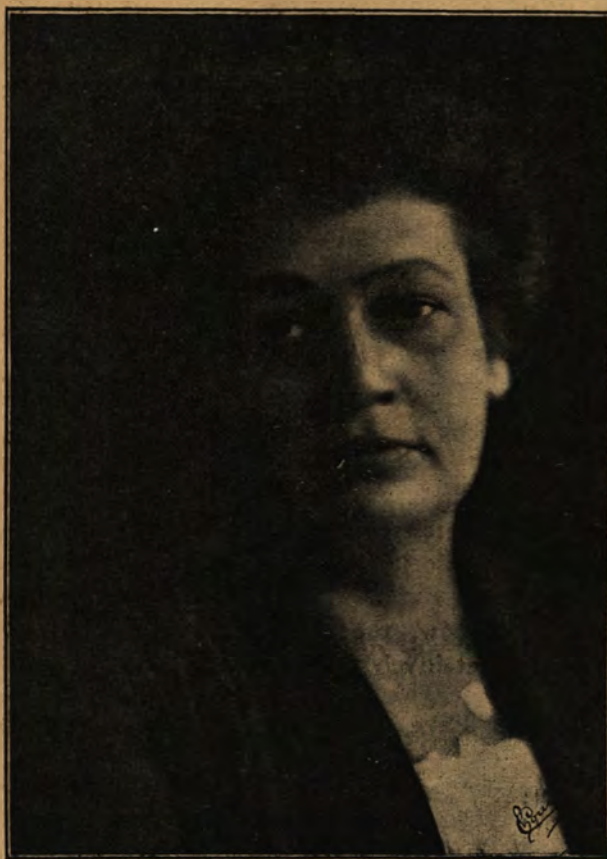
Emigrację naszą można podzielić na dwie grupy: wychodźstwo zarobkowe i wychodźstwo polityczne. Pierwsza grupa to ludzie z a h u k a n i, ciemni i biedni, żyjący na bardzo niskim poziomie kulturalnym, druga grupa — to robotnicy bardzo kulturalni i wyrobieni, z umysłem jasnym i otwartym, z silnie rozwiniętymi potrzebami duchowymi. Np. koncerty, chóry są stałym zjawiskiem w życiu tych robotników polskich.

Organizacyjnie elementy ciemne, kulturalnie niewyrobione skupiają się przy probostwach w tak zw. Wydziałach Narodowych, zaś świadome i kulturalne siły emigracji polskiej skupiają się przy Zw. Socjalistów Polskich, który jest mały liczebnie, lecz dzięki wielkiemu doborowi swych członków posiada kolosalny wpływ na życie emigracji pol-

skiej. Zw. S. P. skupia przeciętnie po 200 — 300 członków w oddziale. Każdego nowego członka przyjmuje się przez powszechne głosowanie wszystkich członków. W ten sposób dobór ludzi jest bardzo ostrożny.

To też organizacja jest tak silna i sprężysta, że nam tutaj trudno nawet wyobrazić sobie. Np. Centra'a wyznaczyła na czas 23 tyg., które miała tow. Praussowa do rozporządzenia, 26 wielkich wieców; i wszystkie wiece odbyły się w różnych miejscowościach z dokładnością co do godziny.

Podziwiam tę sprawność, — mówiła tow. Praussowa — gdyby taki rygor zapanował tu w kra-



ZOFJA PRAUSSOWA.

ju, nie byłoby siły, która śmiałaby podnieść głos nawet przeciw nam.

Ciekawym jest kierunek zaciekawienia się sprawami życia w Polsce. Przytaczamy tu szereg pytań, z ktorými zwracali się tow. emigranci do tow. Praussowej:

„Jakie stanowisko zajmuje Piłsudski wobec PPS.?”

„Czy Piłsudski ma swego kapelana?”

„Jakie PPS. ma wpływy w armji?”

„Ruch spółdzielczy w Polsce i jego tam znaczenie?”

„W imię jakich haseł idzie Piłsudski przeciw bolszewikom?”

„Jak wojsko zachowa się wobec PPS., w chwili kiedy ona weźmie władzę w swe ręce?”

„Jaki jest stosunek Poznańskiego do reszty Polski?”

„Czy istnieje w Polsce instytucja podobna do ochrony rosyjskiej?”

Fytania to bardzo charakterystyczne i dają dużo do myślenia.

Jaki jest stosunek Ameryki do naszej emigracji?

Ameryka nas nie zna i traktuje jak barbarzyńców. W rzeczywistości stanowimy w Ameryce wielką siłę ministerjalną i polityczną, o czem może świadczyć fakt, że prezydent Wilson został obrany tylko dzięki głosom polskim, które przeważały na szali.

I moglibyśmy mieć wielki wpływ na Amerykę, tylko trzeba się tym energicznie zająć. Tymczasem zaś rząd polski nie zorganizował nawet przesyłek z Ameryki do Polski.

A cały ruch powrotowy z Ameryki jest spowodowany dążeniem do udzielenia pomocy roziynom, biedującym w Polsce. I jada ludzie, tracąc kolosalne sumy, gdyż nie mogą nic przesłać do kraju.

Czy silną narodowo jest nasza emigracja?

Trudno o tem mówić. Wielu wynaradawia się. Drugie pokolenie już rzadko mówić potrafi po polsku. I tu otwiera się wielkie pole pracy przed rządem polskim. Ministerjum kultury i sztuki winno zorganizować objazdy emigracji z odczytami, trupami teatralnymi i pokazami artystycznymi.

O Sztuce Ludowej.

(Do rysunku laski, wykonanej przez Antoniego Drabskiego).

Wielu ze słynnych dzisiaj artystów i pisarzy polskich wyszło z pod strzechy chłopskiej. Wielu za młodu stało za kowadłem i imalo się młota i pilnika. Ci to są, co znaleźli dla młodocianych przejawów swej twórczości zainteresowanie i zdobyli często drogą wielkich osobistych wysiłków, możliwość kształcenia się. Niestety, wiele rzetelnych ta-

lentów, żyjących wśród nas, nie może się rozwinąć, z powodu ciężkich warunków życia i trudności zdobycia wykształcenia. Gdy jednak człowiek, będący np. pasterzem krów na folwarku, nie tylko nie umorzy swego talentu, lecz daje mu żyć i przejawiać się w dziełach ubogich wprawdzie co do wstępu, lecz pięknych i doskonałych w pewnym zakre-



Laska rzeźbiona przez wiejskiego artystę według rysunku z oryginału J. Rembowskiego.

się, to przejmuje nas wyjątkowym dla siebie podziwem i szacunkiem. Talent to musi być ogromny i mający niezwykłą żywotność; artysta to musi być wielki i człek o charakterze niebylejakim. Bo przecież wokół bieda, życie szare, ciężkie, monotonne... Gdy się ugania za krowami, to deszcz czasem tego zrosi, wichur jesienny, goniący babie lato po ugorach i rżyskach, przewieje do kości — i krów pilnować trzeba, aby się nie porozchodziły, a prócz tego w obejściu sieczkę każą w wańtuchach lub kobiałach nosić, drwa rąbać, wodę wozić i inne drobne sprawować posługowania. A tu w duszy ukazują się zjawy piękna, wstają tajemnicze tęsknoty i wołają o wcielenie w kształt widomy marzenia o doskonałości i harmonji ostatecznej. Niepokoją te właśnie dusze i szukają ujścia w artystycznym czynie.

Więc bierze taki artysta, samotny, z bydlęciem tylko i psem wśród głuchych rozłogów polnych, pod niezmierną otchłanią niebos zatracony, kawałek drzewa i nożyk i szuka, rzeźwiąc to drzewo, wyrazu dla piastowanego w duszy pierwotnej piękna — jakiemiś tajemniczymi drogami łączy się z długimi szeregami swych poprzedników, poznaje częściowo choćby ich twórczość i to, co tworzy, aczkolwiek uderza oryginalnością i świeżością, ma też

w sobie częstokroć ślady dawnych, prasłowiańskich tradycji.

Jedno z tych dzieł przedziwnych i wspaniałych, którego twórca, człek już leciwy, życie całe strawił na folwarku jako pasterz, podajemy we fragmentach naszym czytelnikom. Jest to rzeźbiona w drzewie gruszkowem laska — prócz rzeźb ozdoby — jest ona inkrustowana wykładanymi cyną rysunkami i napisami. Każdy z kształtów tej laski wyrzeźbiony jest z zamiłowaniem i poczuciem harmonji form i linii. Są tam motywy jakby światowidowych*) głów i pospłatanych z sobą łuków.

Nadzwyczajne zdolności budowania ornamentów i prawdziwie artystyczne zharmonizowanie każdej z form z całością, czynią z tej laski dzieło prawdziwie piękne. Ma ona w sobie coś uroczystego. Jakieś tchnienie rzeczy obrzędowej i ważnej z niej wieje. Daleką jest ona od wszelkiej pospolitej tandety, którą zalewa nas, będący pod wpływem zagranicznych stylów przemysł, tak zwany artystyczny. Do laski tej jeszcze powrócimy, gdyż rozpatrzmy ją tu z punktu widzenia naukowego nasz współpracownik-archeolog.

*) Światowid — starosłowiański bożek.

Przewrót w stosunkach wiejskich



Jan Kwapiński.



Marjan Nowicki.

Pomiędzy najmitami najbardziej upośledzonymi był parobek, robotnik wiejski. Był słaby i osamotniony. Nad nim wysoko był Bóg tylko w niebie, a tu na ziemi prawie wszechwładny władca: — Jaśnie Pan Dziedzic.—W jego ręce oddany był zupełnie, na jego był łasce, i życie jego płynęło według widzimisię pana dziedzica. Gdy dziedzic chciał, to trzymał go, nie chciał — wyrzucał; widział w nim człowieka niespokojnego, buntownika — notował w paszporcie, i wszystkie bramy dworów zostały przed nieszczęśliwcem zamknięte.

Pozostawała śmierć lub gorsza od śmierci nędra i poniewierka gdzieś w obcym mieście na stróżówce lub przygodnym wyrobku. Gdzie szukać było rady na to, jaką drogą dojść do poprawy bytu? Radę i drogę wskazał brat robotnik miejski. Już w 1905—6 roku słowo zachęty i przykład robotników miejskich szeroki zdobyły posłuch i uznanie pod strzechami czworaków.

Ale wszystko rozbiło się, gdy zwyciężyła reakcja. Rozsypanemu po wielkich przestrzeniach robotnikowi rolnemu nie tak łatwo było zmówić się z towarzyszami z innych dworów i utrzymać więzy organizacyjnej łączności, — jak to, mimo reakcji, czynili robotnicy, skupieni w większej ilości w jednym mieście.

Ale ziarna rzucone nie zginęły, bo rola żywna była i urodzajna. Gdy ziemię polską ogrzały pierwsze płomienie wolności, bujnie wzeszły i jako łan gęstego zboża poczęły garnąć się do organizacji szerokie masy robotników rolnych.

Rząd Ludowy uprawnił to dążenie i pomógł mu przybrać odpowiedni kierunek. I nie darmo obszarnicy przeklinają za to Rząd Lubelski i Ludowy Warszawski. Na wsi nastąpiła nagła i gruntowna zmiana stosunków. Fornal, parobek, wyrobnik przekształcił się nagle z pewnego rodzaju

inwentarza na człowieka wolnego, wolności swej broniącego przed wszelkimi zakusami i domagającego się stanowczo bytu i traktowania, godnego człowieka.

To cały przewrót, ewolucja w stosunkach wiejskich.

Dokonał jej Związek Zawodowy Robotników Rolnych. W ciągu swego rocznego istnienia przebył już różne losy, był nawet przez moment blizki rozbicia i upadku, lecz świadomość korzyści, jakie daje robotnikowi rolnemu zjednoczenie się w Związku z towarzyszami swymi z całego kraju i energiczna, roztropna i ostrożna działalność przewodniczącego Związku tow. Jana Kwapińskiego i sekretarza Głównego Zarządu Związku — Marjana Nowickiego — uratowały organizację od rozbicia i więcej nawet, bo postawiły Związek Robotników Rolnych na takich podstawach organizacyjnych, że może temu pozazdrościć nawet niejeden stary związek robotników miejskich.

Dzisiaj jest to najliczniejszy i doskonale zorganizowany związek zawodowy; przez to też wpływ jego jest kolosalny.

Oto świeżo została zawarta ogólna, obowiązująca w całej b. Kongresówce, umowa zbiorowa robotników rolnych z obszarnikami. Robotnicy rolni stworzyli tym sposobem to, o co stare związki w Europie długie lata nieraz napróżno walczyły.

Przed naszymi oczyma oto właśnie grupa fornali, parobków, ludzi od łopaty i pługa.

Zebrał się, by decydować, czy zawrzeć umowę zbiorową z obszarnikami, czy też umowy tej nie zawierać, czy postawić takie czy też inne warunki swym panom, posiadaczom warsztatów pracy.

Twarze przeważnie młode, zdrowe, piękne, owiane świeżym powiewem szerokich pól i łąk.

W środku siedzą dwaj główni kierownicy Związku: t. t. Kwapiński i Nowicki.

Z TEATRÓW.

TEATR DRAMATYCZNY: „Obrońca Częstochowy”, grana obecnie, została inscenizowana przez dyrektora Konczyńskiego stosownie do warunków miejscowej sceny. Zbyt to małe ramy dla tak wielkiego obrazu i dlatego trzeba było poczynić niezbędne skróty. Rzecz efektowna i doskonale nadaje się do teatrów ludowych. Z artystów wyróżnili się pan Tadeusz Żeromski, który ma ładną barwę głosu, i rolę swą traktował ze szlachetnym patosem, oraz p. Borodziej-Zacharkiewiczówna pełna wdzięku i prostoty.

Jedną się tylko nastęrcza uwaga. Czemu wobec repertuaru tak interesującego, wobec cen umiarkowanych, a nawet w dniu codziennej niższych do połowy, wobec tego, że dzień pracy kończy się względnie wcześniej, czemu teatri-

nie jest wypełniony? Wszak uczęszczanie na przedstawienia nie powinno być jedynie przywilejem dnia świątecznego. Teatr należy uważać nie tylko jako rozrywkę, ale i jako uczelnię, jako kuźnię, w której się wykuwa iskry entuzjazmu dla piękna, uszlachetniającego nam życie.

Teatr Dramatyczny wystawił już „Zbójców” — Szyllera, „Pana Twardowskiego”, a w najbliższej przyszłości wystawi „Sen Nocy Letniej” — Szekspira, „Bolesława Śmiałego” — Glińskiego; „Kaśkę Karjatydę” Zapolskiej i „Kościeszkę pod Racławicami”.

TEATR PRASKI: „Robert i Bertrand”. Krotkoczwila przerobiona przez Anczyca z muzyką K. Hoffmana i Wrońskiego

Lekko, swoboduie i po łobuzersku mknie akcja „Ro-

berta i Bertranda". Rzecz stara jak świat, ale że dobry humor, dowcip zawsze znajdzie sobie dostęp do serca widza, więc i tu, choć para złodziejasków operuje na prawo i lewo, choć bez litości obdziera swoje ofiary — jednak cała nasza sympatja jest po stronie tych obwiesiów, drwiących z siebie i z całego świata. Na scenie życie aż kipi i wre, pękają race humoru i improwizowanych, łobuzerskich dowcipów, korowód rozbawiony rozwija się, podnieca własnym szaleństwem i wpada na salę między publiczność, humor żywiołowy panowuje w wszystkich. Chwila... a nie będzie już widzów i artystów, tylko jeden wielki, rozbawiony tłum. To też związek serdeczny wywiązuje się między sceną a salą. Już samo pojawienie się na scenie artysty reżysera Tatkiewicza wywołuje ze strony publiczności oklaski żywotne zadowolenia i powitania.

Sceny są luźne i zaledwie wyczuwalną nicią związane z sobą, nie szuka się w nich logiki, ale efektu i zabawy, jaką też dają.

Najlepszym momentem jest bal u Ippelmajera, gdzie

w dłoń ujęła bicz satyra i smaga wzbogacone parweniuszostwo i śmieszne cechy drobkiem.

A jak go znakomicie gra p. Zejdowski — nie powstydziliby się go najpierwsza scena polska. Charakterystyka i mimika doskonale, zarówno jak i wykończenie szczegółów. Dosadnym i subtelnie pochwyconym w wyrazie i ruchach był typ kamerdynera domu bankiera. Panna Tatkiewiczówna wyglądała jak urocze zjawisko, choć talent jej nie miał tu właściwego pola do popisu. Nie mówię już o nierozdzielnej parze złodziejaskow-obwiesiów, którzy ster sztuki i uwagę widzów dzierżyli w swoich rękach — panowie Tatkiewicz i Machalski podbijali wszystkich grą lekką, łobuzerską, pełną humorystycznych improwizacji.

Należałoby jednak lepiej zharmonizować zbiorowe numery taneczne.

Krotoczwila ta — to miła pauza i odpoczynek, zarówno po dziełach wielkiej poezji, jak i przed temi sztukami, które niezmiernie i wybitny artysta-reżyser pan Tatkiewicz przygotowywa w najbliższej przyszłości.

Halina C. Wilczyńska.

Z wydawnictw.

TRYBUNA Nr 7. „Trybuna“ jest dziś jedynym w Polsce tygodnikiem, dążącym do zasadniczego, naukowego ujęcia wszytkich zagadnień chwili bieżącej. Nr 7 przynosi nam bardzo ciekawy artykuł E. Lipińskiego p. t. „Jak powstrzymać apadek marki? Przyczynę bezprzykładnego spadku wartości marki widzi autor w tym, że prowadzimy wojnę dłużej niż inne państwa, a przytem prowadzimy ją w fatalnych warunkach ekonomicznych i administracyjnych“.

Towaru na rynku jest mało. Popyt jest ogromny.

„Państwo jest największym odbiorcą. Armja potrzebuje miesięcznie 25.000 świń i 120.000 sztuk bydła rogatego, 1/3 ogólnej produkcji zboża i paszy idzie na potrzeby armji; cały [niemal przemysł włóknisty pracuje dla wojska i t. d.“

Kupując te rzeczy państwo niema jednak normalnych dochodów, z podatków wpływa nie wiele — wady organizacji skarbowej, nadmiar potrzeb i t. d. sprawiły, że „trzeba było drukować pieniądze bez żadnych ograniczeń. W przeciągu roku suma obiegających marek polskich zwiększyła się sześć razy“.

Wynik tego jasny: każda jednostka pieniężna w stosunku do dawnej ilości towaru zastąpiona jest przez sześć jednostek.

Oto przyczyna spadku marki.

W tymże zeszycie znajdujemy piękne myśli Romaina Roland'a o wolności, ciekawe dane o stanie ekonomicznym Rosji sowieckiej, sprawozdanie teatralne i t. d.

„SPÓŁDZIELCA“ Nr 7. Pismo to, poświęcone robotniczemu ruchowi spółdzielczemu, przynosi artykuły o zadaniach robotniczej kooperacji i ciekawe dane z jej rozwoju u nas i gdzieindziej.

Artykuł wstępny mówi o wielkich zadaniach kooperacji robotniczej w dziele budowy ustroju socjalistycznego.

„Aby powstanie proletariatu nie skńczyło się klęską i powrotem starego ładu, trzeba wszelkimi siłami organizować, budować — czy może słuszniej —

hodować możliwie największe, najpotężniejsze i na najbardziej uświadomionych członkach oparte — robotnicze stow. spóżywców“.

Artykuł o rosyjskim „Centrosojuzie“ — centrali kooperatyw podaje następujące dane ze stanu ruchu koop. w Rosji.

Budżet „Centrosojuzu“ na rok 1919 przewiduje obrót towarów na sumę 1.717 409 796 rubli. Wydatki — 113 milionów rubli. Na fundusz społeczno-wychowawczy przeznaczono 10 1/2 miliona.

Na początku roku 1919 nastąpił rozłam. Kooperatywy robotnicze utworzyły własną centralę: „Centrosekcję“, jednak łączności z „Centrosojuzem“ nie zerwały i łącznie z nim występują na rynkach zachodnich.

KOLEJARZ-ZWIĄZKOWIEC Nr 4 przynosi artykuł p. t. „O pokój i odbudowę“, omawiający zwołaną przez Radę Naczelną P. P. S. dn. 8 lutego naradę przedstawicieli klasy robotniczej w sprawie pokoju. Artykuł „Sprawa kolejarzy poznańskich“ daje jeszcze jeden przyczynek do historii „niepodległej Korfancji“, której „rząd“ mimo uchwały Sejmu nie wypłacił dotąd kolejarzom 13 pensji, oraz stwierdza na przykładach obłudną działalność Polskiego Zw. Kolejarzy, który zresztą coraz bardziej maleje na rzecz założonej w Poznaniu filji klasowego Zw. Zaw. Kolejarzy.

LUDOWIEC Nr 1—2—3. W klubie ludowców nastąpił rozłam. Radykalna część postów ludowych na czele ze Stolarskim wyłamała się z pod batuty Witosa. Reszta zamieniła się w prawdziwych „witosików“.

„Ludowiec“ jest ich organem. W Nr 1 przynosi on odezwę do wyborców, w której postawie pozostali z Witosem we wspólnym klubie, tłumaczą ten czyn chęcią zjednoczenia ruchu ludowego. Przeciwników z „Wyzwolenia“ oskarża o tendencje rozbijaczy. Pod odezwą z wybitniejszych ludowców są podpisani: Dębski Jan, Kurczak, Osiecki, Rataj.

Atutem walki z „Wyzwoleniem“ jest frazes o jedności — nim też szermują na wszystkich stronach pisma.

Nr 3 zamieszcza sprawozdanie ze zjazdu tej grupy ludowców. Na zjeździe tym p. Witos oświadczył, że „Piast” został rozwiązany i od tej chwili złączyły się różne grupy ludowców w jedno P. S. L.

Z ważniejszych uchwał przytaczamy:

„Sejm w Polsce musi być jednoizbowy“.

„Podstawą rokowań z rządem sowieckim, winno być wycofanie wojsk rosyjskich poza granicę 1772 roku“.

„Posłowie mają dołożyć starań dla najszybszego wprowadzenia wolnego handlu.“

ADAM SKWARCZYŃSKI. Cele wojny na wschodzie. Tak bywa zawsze — nie, kiedy zaczyna się wojna, lecz w toku jej trwania formułują się cele wojny. Przy jej zaczęciu brzmi jakieś proste i popularne hasło — obrona kraju, zmiążdżenie wroga, zagrażającego narodowi — kiedy wojna wytoczy rzeki krwi, i naturalnie rodzi się żądza pokoju — szuka się wtedy celów wojny.

W Polsce to ogólne podłoże ma jeszcze własne zabarwienie. Na czele państwa stoi Piłsudski. On Wodzem Naczelnym. Kto wielbi go — ten nie śmie myśleć wbrew jego działaniom.

W takim położeniu jest radykalna inteligencja polska. Piłsudski z tych czy innych pobudek nie powiedział swego zdania o pokoju — wierna mu, z bałwochwalczą prawie czcią oddana inteligencja radykalna — nie wie co myśleć: niezadowolona jest z wojny — naturalne to zrozumiałe na tle warunków życia polskiego; brak jej decyzji w opowiedzeniu się jasno za pokojem — zrozumiałe wobec milczenia Belwederu.

Co najwyżej myśl radykalnego inteligenta polskiego stara się odkryć sens dalszego prowadzenia wojny. Jest to coś w rodzaju prób odgadywania cudzych chęci — taką próbę mamy przed sobą w postaci broszurki A. Skwarczyńskiego, redaktora „Rządu i Wojska“, prowadzącego dziś polemikę z „Robotnikiem“ z powodu jego akcji pokojowej.

„Najpewniej rząd w sprawie celów wojny zdania nie ma. Sejm do obmyślenia celów tych jest niezdolny.“

Naczelnik i wódz cele ma i widzi...“ Pisz ob. Skwarczyński.

Cele te musi poznać cały naród, bo tymczasem: „cele wojny, na obszarach zajętych na wschodzie, realizują

się na każdym kroku przez sposób administrowania, i jeśli naród im nie narzuci celów ogólnych narodowych, państwowych, realizować się będą cele partykularne, klasowe, egoistyczne“.

Autor pragnie, by naród w wojnie położył podstawy pod przyszłość swą i potęgę. To, co się dzieje na „kresach“ uważa za marnowanie zdobyczy wojennych.

„Niepodległość wyzwolonych, demokratycznych narodów środkowo-wschodniej Europy, zcementowanych przez Polskę w Federację — wysuwaliśmy zawsze jako cel polskiej polityki wschodniej“.

Oto cel wojny. Wojna jest koniecznością.

„Co więcej, tylko wojną można zmusić Rosję do wprowadzenia u siebie demokracji“.

Założeniem rozumowania jest oswobodzicielska rola Polski na wschodzie.

Jakżeż gorzko jednak drwi sobie rzeczywistość z tych marzeń

Sam autor przyznaje, że mimo, iż „Naczelnik ma cele i widzi“ — zamiast roli wyzwolającej narody wschodnie spełnia Polska rolę strażnika i obrońcy posiadaczy tamtejszych latifundjów.

Przecież tak świeżo („Ziemia Podolska“ z dn. 5 lutego) czytaliśmy wezwanie władzy wojskowej Płoskirowskiego powiatu do właścicieli i dzierżawców, aby powracali dla objęcia administracji swych majątków.

Przecież tak świeżo — wczoraj jeszcze — słuchaliśmy skarg chłopów białoruskich na reakcyjność władz polskich w ich kraju.

Ob. Skwarczyński wie o tych faktach, zdaje sobie z nich sprawę i pyta: Czy mamy siły, by wykonać jego program. Czy mamy? — Broszura na to nie odpowiada — nawet stwierdza, iż „odpowiedź taka nigdy nie jest możliwa“.

Ale nie dając odpowiedzi, autor chce dalej prowadzić wojnę w myśl celów, których zaprzeczenie przynosi i na „kresach“ i w kraju każdy dzień dalszej wojny, wzmagając siły reakcji.

(-x-)

POKWITOWANIE.

Zamiast kwiatów na trumnę Janiny z Szokalskich Rzańnickiej składa na fundusz prasowy „Światła“ ppor. Marjan Dąbrowski marek pięćdziesiąt.

WARUNKI PRENUMERATY z przesyłką do domu:

Od 15 lut. 20 r. do 1 stycz. 21 r. 120 mk. — 170 kor.

Kwartalnie 35 „ — 50 „

Miesięcznie 12 „ — 17 „

Konto czekowe P. K. O. Nr 798.

CENY OGŁOSZEŃ:

Za jednoszpaltowy wiersz i tytuł lub jego miejsce:

Na okładce: 2-ga i 3-cia str. — 6 mk.; 4-ta str. 5 mk.

Na ostatniej stronie tekstu (tylko książki i wydawnictwa) 5 mk.

Za całą stronicę 150 wierszy — 20 proc. taniej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: SZPITALNA Nr 12, II PODWÓRZE, II PIĘTRO.

Redakcja otwarta codziennie od 6—8 wiecz. = Administracja czynna codziennie od 10—2 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL
JAN REMBOWSKI.
JERZY SOCHACKI.
ANDRZEJ STRUG.
ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca Z. Zaremba.
Kierownik literacki Andrzej Strug.
Kierownik artystyczny Jan Rembowski.